

Witold
Modzelewski



Nasz współczesny okres „powojenny”, który nie skończy się „rosyjską agresją”

W dwudziestym wieku
nauczyliśmy się dzielić epoki na
„przedwojnia”, „międzywojnia”
i „powojnia”.



Ówczesne międzywojnie trwało bardzo krótko (21 lat), skończyło się jeszcze większą katastrofą niż poprzednie. Dopiero druga z wielkich wojen, wyniszczająca i degradująca, a w zasadzie likwidująca „Wielkie Niemcy”, dała nam długi czas „powojenny”, który trwa już ponad sześćdziesiąt lat, co jak na realia europejskie jest czymś zupełnie wyjątkowym. Nasza, polska państwowość utworzona u zarania tej epoki, przetrwała bez istotnych wstrząsów i strat terytorialnych do dziś i ma szansę na kolejne dziesięciolecie, a obecne „powojnie” nie przekształci się w „międzywojnie”, bo... wojny w tym regionie świata nie będzie. Dlaczego? Odpowiedź wynika z oceny istotności trzech czynników, które w tej części świata mogą niszczyć nasz konflikt.

Pierwszym z nich są Niemcy, które w zeszłym wieku wywołały i przegrały wszystkie istotne wojny. Obecna Polska została ukształtowana jako państwo antyniemieckie, osłabiające i przywracające naturalny stan wielości państw niemieckich. Ich zjednoczenie w 1871 r. było największym i najkrwawszym błędem Europy. Co prawda podjęto już w naszych czasach częściowo udaną próbę odtworzenia (prawie) Wielkich Niemiec, które jednak z wielu przyczyn (na razie) nie wrócą do tej destrukcyjnej (dla innych i siebie) roli. „Wielkie Niemcy” były najistotniejszym twórcą naszej międzywojennej, bardzo nietrwałej państwowości, a od lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku wróciły do projektu Mitteleuropy, przywracając swoją hegemonię na najszerszym historycznie wariantcie. Ale dziś są one państwem konserwującym *status quo*, a nie rewizjo-

nistycznym – jak w „międzywojniu”, co przecież oznacza, że wspólna polityka z rewizjonistyczną Rosją nie ma większych szans. Gdyby nasi politycy choć trochę nadawali się do międzynarodowej roli, to wykorzystywaliby ten atut, uzyskując korzyści od obu stron. Na razie podporządkowujemy się do cna niemieckim interesom, ale to też jest jakimś pomysłem na naszą małą stabilizację. Dopóki w Berlinie, podobnie jak w Polsce, będzie rządzić kolejne pokolenie „powojennych” polityków, nie grozi nam niemiecka agresja (nie muszą zdobywać tego, co już mają ekonomicznie i politycznie). Każdy, kto broni *status quo*, mając więcej niż jest w stanie obronić, prowadzi politykę pokojową.

Drugim czynnikiem jest rewizjonistyczna Rosja, która cofnęła się do rozmiarów siedemnastowiecznego Wielkiego Księstwa Moskiewskiego (czasy Aleksego Michajłowicza Romanowa). Oczywiście, wbrew powtarzanym w Polsce bredniom, nie chce ona „przywrócić” Związku Radzieckiego ani tym bardziej uniwersalistycznego imperium czasów Aleksandra Pawłowicza, bo to zupełnie przebrzmiałe i martwe wzorce. Rosja odradza się w wersji

nacjonalistycznej, bardziej moskiewskiej niż petersburskiej, chce odzyskać wpływy w „kanonicznych” ziemiach ruskich, które w niemieckiej wersji Mitteleuropy stanowią odrębne, antyrosyjskie państwa. Dotyczy to głównie obecnej Białorusi i Ukrainy, a może jeszcze Estonii (rosyjska większość), ale nie Litwy, a na pewno już nie Polski.

Nawet Związek Radziecki nie chciał popełnić carskiego błędu formalnego przyłączenia do swojego państwa ziem etnicznej Polski i sądzię,

Dopóki w Berlinie, podobnie jak w Polsce, będzie rządzić kolejne pokolenie „powojennych” polityków, nie grozi nam niemiecka agresja. Każdy, kto broni status quo, mając więcej niż jest w stanie obronić, prowadzi politykę pokojową.

że również dziś w Moskwie nie ma i nie będzie takich planów. Dopóki Rosja z lepszym lub gorszym skutkiem będzie odbudowywać swoje wpływy na „kanonicznych” ziemiach „Świętej Rusi”, a to może jeszcze potrwać długo i z niewiadomym skutkiem, to my możemy spać spokojnie. Żadne wojny z Rosją nam nie grożą, zresztą i nie groziły również w niedawnej przeszłości. Obyśmy tylko pozbyli się szkodliwej misji bezinteresownego „obrońcy niepodległości” państw wschodniej Mitteleuropy, bo nic na tym nie zyskujemy, a tracimy ekonomicznie i politycznie zbyt dużo. Powinniśmy robić z Rosją interesy, zarabiać na ich rynku, bo w czasie pokoju liczą się tylko ci, którzy mają pieniądze.

Wreszcie trzeci, choć dość odległy gracz na europejskiej scenie, czyli Stany Zjednoczone Donalda Trumpa. Tu zmienia się najwięcej. W Ameryce chyba definitywnie kończy się ich „powojnie”, które wykreowało to państwo dla roli światowego lidera. Warto przypomnieć, że ani w dziewiętnastym wieku, ani tym bardziej w międzywojniu państwo to nie było „światowym przywódcą”. Donald Trump zupełnie przeciwie nie pasuje do tej wizji: jego polityką są interesy, a on ma zamiar chronić interesy Ameryki, jej gospodarkę i odbudować przemysł w tym kraju, bo na globalizacji, „wolnym handlu” i innych postzimnowojennych pomysłach amerykański biznes na pewno dużo zarobił, ale koszty tego poniósł obywatel, który nie ma roboty i żadnych perspektyw. Powstała nowa wersja pasożytniczego kapitalizmu, przenosząca centra produkcyjne do państw azjatyckich, historycznie

osłabił Amerykę, która ma pieniądze, ale towary musi kupować od innych (nonsens). Pod tym względem diagnoza nowego prezydenta jest trafna, bo w gospodarce liczą się – jak świat światem – tylko ci, którzy u siebie produkują towary (przemysłowe lub surowce, a najlepiej jedne i drugie).

Aby przemysł wrócił do amerykańskich miast, dał pracę – czyli zajął w ciągu dnia miliony wyborców, trzeba zmienić wiele, co zresztą nastąpi. Nie chcę formułować efektownych tez, ale ostatnie wybory w USA prawdopodobnie definitywnie zakończyły nie tylko postzimnowojenną epokę (lata 1991-2017), lecz również amerykańską wersję czasów „powojennych”. Nie trzeba być nadto przenikliwym obserwatorem, żeby stwierdzić, że wszyscy obrońcy (również naszego) *status quo* bardzo boją się przyszłości i nie ukrywają swojego strachu. Słusznie? W pewnym sensie tak, bo zglobalizowany politycznie i zdominowany przez Stany Zjednoczone świat nie okazał się korzystny dla tego państwa, które

straciło istotną część swoich realnych aktywów, czyli przemysłu. W tym świecie inni bogacili się kosztem Ameryki, tworzyli nie tylko konkurencyjną gospodarkę, ale również niezależne związki państw, czego najlepszym przykładem jest właśnie Unia Europejska. Ten związek państw chce uchodzić za trzeciego gospodarczego gracza w świecie (obok USA i Chin), chroni swój „wspólny rynek”, eliminując amerykańską produkcję. Czy tak wygląda sukces z perspektywy Waszyngtonu?

Minione ćwierćwiecze wykreowało przede wszystkim najważniejszego przeciwnika

Polityką Trumpa są interesy, a on ma zamiar chronić interesy Ameryki, jej gospodarkę i odbudować przemysł w tym kraju, bo na globalizacji, „wolnym handlu” i innych postzimnowojennych pomysłach amerykański biznes na pewno dużo zarobił, ale koszty tego poniósł obywatel.

– światową potęgę gospodarczą – Chiny, które są już albo prawdopodobnie będą większą gospodarką od amerykańskiej. Stany Zjednoczone potrzebują rozwoju realnej gospodarki, wielkich zamówień i nowych rynków zbytu, aby zrealizować politycznie i ekonomicznie wizje nowego prezydenta. Jest jeden kraj, który może zaoferować te możliwości, a jego interesy nie są tu przeciwstawne. Kto? Wiadomo – Rosja. Jeżeli głównym strategicznym partnerem reindustrializacji Ameryki będzie Rosja (możliwy wariant), to my powinniśmy zacząć myśleć, jak będzie wyglądać (już wygląda?) nasz polski świat, bo jesteśmy dzieckiem innej, przemijającej już dla Ameryki epoki.

Dlaczego nic nam nie daje do myślenia fakt, że sprowadzone na nasze terytorium w ostatniej chwili obce wojska, które (jakoby) mają nas bronić

Jeżeli głównym strategicznym partnerem reindustrializacji Ameryki będzie Rosja (możliwy wariant), to powinniśmy zacząć myśleć, jak będzie wyglądać (już wygląda?) nasz polski świat.

przed „rosyjską agresją”, są na naszej zachodniej granicy, a dokładnie na terenach należących do 1945 r. do „Wielkich Niemiec”?

Sądzę, że Ameryka nie chciała w przeszłości i nie chce dziś konfliktu z Rosją, a jej bezinteresowna chęć obrony istniejącego *status quo* jest już tylko częścią mitu założycielskiego III RP. Pora zacząć szukać koncepcji polskiej polityki w świecie rządzonym

przez Donalda Trumpa. Kluczem do zrozumienia naszej przyszłości nie może być jednak strach przed wymagowaną „agresją rosyjską”, której ma jakoby zapobiec (rotacyjna) obecność amerykańskiej brygady na naszych zachodnich rubieżach.

Autor jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, Instytut Studiów Podatkowych.